Nr. 50. We Lwowie dnia 16. grudnia 1895. Rok III.

# TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

# Shelley.

(Ciąg dalszy).

Z natury skłonny do marzeń, niezadowolony z rzeczywistości, tęsknił Shelley za istotą, któraby odpowiedziała idealnemu nastrojowi jego ducha, i te pragnienia swoje, połączone z żądzą pozyskania coraz to głębszej wiedzy, skrystalizował w jednym z najcudowniejszych utworów, jakie którykolwiek naród posiada — we wspomnianym już kilkakrotnie »Alastorze«.

Podróż, jaką już po zerwaniu z p. Westbrook w r. 1814 odbył po Francji, nad Ren i Belgji, uzyskawszy po śmierci ojca właśnie w tym czasie owe tysiąc funtów renty (około 120\0 złr.); widok gór i jezior alpejskich, odwiedziny źródlisk Tamizy, ciągłe wsłuchiwanie się w poszumy lasu windzorskiego, na którego krańcu po powrocie zamieszkał, złączyły się na to wspaniałe malowidło przyrody, którego ognisty koloryt zdaje się być powleczony lekką mgłą niewysłowionej boleści i tęsknicy.

Rozpocząwszy elegję swą podniosłą apostrofą do Przyrody, będącą mianowicie w pierwszym ustępie szczytem poetyckiego panteizmu i tą miłością wszechstworzenia, jaka bije z przeważnej części jego utworów przedstawia młodzieńca-poetę, który, oderwany od rzeczywistego życia, nienasycony filozofją i poezją, szczęśliwy i spokojny, dopóki jego dążenia odnoszą się do wielkości i piękności zewnętrznego świata; nieszczęśliwy, skoro w nim się obudza żądza obcowania z pokrewnym sobie duchem, szuka tej istoty po całym niemal świecie, a nie znalazłszy jej, ginie.

Znalazł ją atoli Shelley i to w pannie Marji Godwin, która odtąd dzieli z nim losy aż do skonu. Nowa małżonka była córką słynnego wówczas pisarza, kobietą wielkiego umysłu i wielkiego serca i znaną jest w historji emancypacji kobiet, jako jeden z najgorętszych szermierzy za ich prawa.

Stosunek Shelley'a do pierwszej żony dał purytanom angielskim nowy, tem większy jeszcze powód do prześladowań. Doszło do tego, że kanclerz Eldon odebrał mu nawet dzieci, zrodzone z tego małżeństwa i oddał je ludziom obcym, uzasadniając swój nakaz tym mianowicie względem, że Shelley jako »ateusz i republikanin« nie jest zdolen wychować swych dzieci na moralnych obywateli kraju. Równocześnie atoli nakazał, aby nieszczęśliwy ojciec publiczne to wychowanie opłacał piątą częścią swych dochodów.

Boleść z powodu utraty dzieci nie miała granic. W wierszu do syna, zrodzonego z drugiego małżeństwa, znajdujemy głęboki, a zarazem wspaniały boleści tej wyraz. Cierpiał Shelley tem więcej, że opieka Eldona nie pozwoli na rozwinięcie się w jego dziejach szlachetniejszych popędów, że wychowa je na sługi despotyzmu i ciemnoty, że jako tacy, wyrósłszy, miotać będą przekleństwa na głowę własnego, niezależnie myślącego, niezależnie czującego ojca!

»Wydarli ci brata i siostrę« — mówi on w wzmiankowanym wierszu — »uczynili ci obcem ich serce, a mnie przygasili czar ich uśmiechu, odblask ich łez, łez ich przeświętych. Martwa wiara i ustawy zarzuciły swe sieci około ich głów i przeklinać będą mnie i ciebie, że jesteśmy ludźmi wolnymi, że jesteśmy ludźmi bez bojaźni... Atoli nie wieczną posiadają władzę słowa tyranów i klechów ustawy. Stoją one nad brzegiem rozszalałego potoku, kalając krwią jego wody. Z tysiąca dolin przypływają do niego strumienie, potok się pieni, burzy, wzrasta i hu-

czy, a berło i miecz giną, połamane na falach wieczności...«

Boleść z powodu utraty dzieci nie zmitrężyła jednak potężnego ducha poety, tak jak nie złamały go przedtem dni głodu; nie przygniotła, nie ścieśniła mu jego piersi, nie odarła jego serca z wiary w przyszłość promienną, w »królestwo piękna i miłości«. »Miecz i berło niewoli zginą w przyszłości bez śladu, strzaskane ręką wybijającego się ducha swobody«.

Obawiając się, aby obłudna tyranja rządu nie wydarła i syna, zrodzonego z drugiego małżeństwa, widząc przytem, że niepodobieństwem jest żyć w społeczeństwie, które nie wahało się piętnować go mianem zbrodniarza, a w organach swoich opluwało go śliną najbrudniejszej nienawiści, opuścił ziemię ojczystą i udał się do Włoch. Ale i tutaj dosięgły go szpony hipokryzji rodaków. Turyści angielscy, spotykający Shelley'a w podróżach swoich na ulicach miast włoskich, stronili od niego jak od zadżumionego, bali się przekroczyć progu hoteli, w których on zamieszkiwał. Nie obywało się i bez obelg brutalnych. W Pizie, kiedy Shelley, pytając się na poczcie o przesyłkę listów, wymówił swoje nazwisko, przyskoczył do niego jakiś oficer angielski i z wykrzykiem »więc to ty jesteś tym ateuszem«, powalił go na ziemię i kopnąwszy go nogą, uciekł haniebnie, zanim napadnięty zdołał się podnieść i pochwycić swego napastnika. I tu, we Włoszech, dolatywały go echa oburzenia, z jakiem się do niego odnosili jego rodacy, echa, których wyrazem były nędzne, nad wyraz nikczemne artykuły, niby to »poważnych pism« angielskich. Wyrażały się one o Shelley'u, jako o »niecnym uwodzicielu«, bluźniercy i buntowniku, dla »którego nawet rodzina żadnych, ale to żadnych nie posiada świętości«, jako »o zimnym egoiście, pełnym nikczemnej pychy i nieludzkiego okrucieństwa«, a o jego poezji nieinaczej, jak o »mieszaninie niedorzeczności i bluźnierstwa, nędzoty pedanterji i najbrudniejszej zmysłowości«.

Podobne napaści nie złamały jednak Shelley'a tak samo, jak nie zwichnęły go były prześladowania, doznane ze strony przedstawicieli rządu. Owszem, właśnie w tym czasie, jakby na dowód, że boleść jest najpotężniejszą rodzicielką natchnienia, twórczość jego dosięgła swego zenitu. We Włoszech bowiem najwspanialsze powstały dzieła. Są to potężne hymny na cześć wolności, bądź to w formie dramatów, jak Hellas i Prometeusz, bądź to w formie ód i pieśni, jak oda do walczących za wolność, dalej apostrofa »do mężów Anglji«, wzywająca lud do zrzucenia z siebie jarzma konstytucyjnego despotyzmu, »Anglja w r. 1819«, który to wiersz przytoczyłem w ostatnim nr. i inne. We wszystkich tych większych i mniejszych utworach, obok poetycznych zachwytów nad potęgą i urokiem swobody, słychać krzyk oburzenia człowieka, przejętego na wskroś ideją humanitarną, a zmuszonego patrzeć na czyny takich nikczemników, jak Castlereagh, Judkin-Fitzgerald, Sidmouth, Eldon i tym podobni gwałciciele praw, przynależnych ludowi.

Najobszerniejszym, choć najbardziej abstrakcyjnym z tych hymnów wolności jest liryczny dramat »Prometeusz rozpętany«, którego przekład dał nam przed kilku laty Feliks Jezierski.

Największych poetów, że wymienię tylko w starożytności Eschylosa, w naszym zaś czasie Goethego i Byrona przyciągał myt o tyranie, owym synu Japetowym, który ulepił z gliny człowieka na wzór i podobieństwo bogów, a potem, podniósłszy się ku rydwanowi Heliosa, zapalił u jego promieni pochodnię, ażeby skradziony ten ogień znieść na ziemię i natchnąwszy nim pierś człowieczą, dokonać swego tworu, dać mu świadomość siły i swobody, zrównać go z bóstwem wbrew woli tego bóstwa.

(Dok. nast.). *Jan Kasprowicz.*

# U WRÓT EDENU.

(Dokończenie).

Jak od chmur, przelatujących pod słońcem, mknęły cienie szybkie — wielkie — rozciągłe — coraz szybsze, coraz rozciąglejsze — i wszystko, co było jasnością, wonią, urokiem i poezją szczęścia — wszystko rzucanymi cieniami się przykryło i szarzało — bladło — nikło. Pustka! Na miejscu Edenu jedna rozciągła, bezbarwna, bezświetlna pustka!

A ocean ów szumiał bez przerwy.

Z dalekich granic podnosiły się fale i niezmożone, niecofnięte biegły ku brzegom wałami w wał przelewając. I pomyślałam, że jak niegdyś, w ów dzień bezczasowy, tak i tu nad temi wodami rozprzestrzenia się, pływa, kołysze jakiś wielki duch boży.

Duch mój, atom, tęsknotą zdjęty porwał się ku niemu i leciał, jak lecą ptaki w noc, przez ciemne przestrzenie do gniazd wracające...

Wielkie ciała przyciągają ku sobie wszystko, co się w promieniu ich siły przyciągania znajduje — wielkie idee mają moc tę samą. Na bryły ciał przestrzennych spadają krążące bezcelowo jakichś planet okruchy — duchy, błąkające się w chaosie wieku, czemuż nie mają spaść tak samo w łono jakiegoś słońca, w szumiące fale oceanu — idei?...

JULJUSZ. Więc niema już Edenu? Na Boga, mój ptaku biały, cóż chcesz z Edenu uczynić? Zapowiadam z góry, że będę energiczniejszy od naszego praojca i żadnemu aniołowi nie dam się zeń tak łatwo wyprowadzić... w pole.

LOLA. Eden? Otóż tu właśnie następuje moja męka. Bo kiedy mi on na chwilę z przed zadziwionych zginie oczu, budzi się we mnie tamta, pierwsza, i woła wszelkiemi siłami: Eden jest! Eden nie umarł! Sam Bóg go zniszczyć nie potrafi!

I takie piękne rzeczy snują się mi wtenczas w myśli. Jak duchy białe snują się mi wtenczas przed zamkniętymi oczyma postacie wielkie, fałdami posągów odziane, oblane z góry światłem zielonem, łagodnem. Patrzę w ich twarze mgliste, duchowe, a niby dłutem z marmuru rzeźbione, tak spokojne; i widzę, jak myśli błąkają się im po rysach, a jasność je wypija. Znam je od dziecka. Ta oto w cierniowej koronie — to królowa, tamta — maska mściciela, a owa z przeźroczystymi skrzydłami na ramionach — to jasny, siostrzany duch poety. »Wszystko przenosi, nigdy nie ustaje, a jako śmierć jest mocna!« One wyznawały te słowa i w raj wierzyły! Dla nich owe szumiące morze i Eden ich miłośny, to było jedno. One rozdźwięku nie znały.

Czemuż ja taka biedna, czy taka niedołężna, że drogi do obu naraz nie widzę? Kiedy słucham serca i o raju marzę, to jakiś głos wyrzutu woła we mnie: a morze? Lecz gdy dam się porwać bezgranicznym widnokręgom, gdy wsłuchuję się w burze dnia i w światła przyszłości wpatruję — wtenczas jakiś niespodziany, ukradkowy ból ściska mi serce i coś w niem szepce ze łzami: a Eden?

JULJUSZ. Teraz ja ci mówię: a widzisz! Tamte rozdźwięku nie znały, dobrześ mówiła. Prawda jest jedna, gdzież tu rozdźwięk być może?

LOLA. To dziwne... A jednak jest.

JULJUSZ. Lecz czy w prawdzie? Może ty patrzysz oczyma — daruj miła — które nie jasno widzą? Może dysonans nie w barwach jest, lecz w oku?

LOLA (po kilku chwilach namysłu). Nie... nie... O, nie! Dysonans nie we mnie, ale przedemną. Czuję to. Myślę czasem, że prawda, gdyby ją uzmysłowić, wzięłaby kształt pryzmatu. Biały promień, który weń wszedł, po drugiej stronie odbija barwę krwawą, żółtą, fiolety — wszystko, tylko nie białość.

Wszystko się dwoi. I wiesz — to straszne — ja na tę dwoistość choruję od dziecka.

Byłam jeszcze zupełnie małą, kiedy ojciec zaczął rozwijać we mnie wszelkie uczucia tkliwe i wzniosłe — te róże serca, które może kiedyś cierniami porosną. Uczył mnie wiele kochać, wiele czuć. Gorącem słowem porywał moje dziecinne serce i prowadził je na wyżyny — skąd się już w Boga patrzy. Byłam chorem, nędznem dzieckiem, często milczącem i chmurnem — ale jak ja czuć umiałam! Z łez i ognia byłam cała i przez te tęcze na świat patrzyłam...

Nędznych, skrzywdzonych, spracowanych ojciec do wspólnego naszego rodzinnego stołu wiódł i na ręce w pracy zaskrzepłe wskazywał, mówiąc: szanuj! na łachmany nędzarzy: kochaj! Odtąd siermięga chłopa, czy kostur tułacza lub łachman psami szczwanego żyda był dla mnie powagą, przed którą głowę schylam.

Widziałam raz, jak matka moja na widok wielkiej nędzy płakała. Mnie wówczas jej łzy kroplami ognia na serce padały. Oh, to źle takiemi łzami przy dziecku płakać... Bo wtenczas w dziecinnej duszy rodzą się elementy, które nie zginą nigdy — ze śmiercią chyba. Co mówię, one przeżyją serce, w którem się poczęły. One w swej nieśmiertelności ku słońcu prawd wiecznie ciągnąć będą.

(Z zamyśleniem). Ja umrę — lecz to, co mną jest, nie zgaśnie... Jak nie zagaśnie światłość idei, jak przestrzeń, jak wieczność, jak myśl...

JULJUSZ. (Dotykając jej ręki). Zbudź się, proszę. Dokończ swej pierwszej myśli. Cóż było złego, rodzice z pieszczoszki swojej chcieli zrobić istność pełną duszy — coś, nakształt siedmiostrunnej liry, po której najlżejszy powiew nie prześliznie się bez echa.

LOLA. A gdy zamiast słodkich powiewów przeleci po strunach — burza? Pomyśl, czy będą wtedy targać się te struny? Lecz mniejsza o to; mogą nie zerwać się. Często najczulsze bywa najsilniejszem. Gorzej jest, gdy tę czułą, do tkliwych tylko brzmień ułożoną lirę postawią pod jesienne, zwykłe, szare, pełne zamieci niebo. Wtedy taka lira prócz jęków nic nie wyda. Lecz jeśli prócz uczucia i myśleć jest zdolna...

JULJUSZ. Wtedy!

LOLA. Wtedy... Oprze się o nią cały chaos podniebny. Otoczy ją rój zagadek, ciemność szalejąca — bez świateł, bez drogi, bez wyjścia. Wtedy świat rozpadnie się na dwa odłamy i myśl na dwa odłamy, i prawda, i serce... Wtedy, z tej dwoistości — oszaleć można.

JULJUSZ (biorąc jej ręce). Lecz wtenczas stanie przed tobą ktoś, wierny i spokojny; gorącą główkę złożysz mu na serce, oczy przymkniesz z ufnością i on cię z pośrodka wszelkich trwóg bezpiecznie uprowadzi.

LOLA. Do raju? Nigdy! Z myślą skołataną niema raju.

JULJUSZ. Cicho, dziecko; nie mów tak. Wróćmy raczej do naszej zagadkowej dwoistości, czy też dwoistej zagadki. W czemże tkwi ona?

LOLA. A ty jej nie widzisz? Ty jej nie nosisz w sercu, w mózgu? Ona jak zygzag piorunowy, ognistym znakiem pytania wiekuiście mózg mój przecina. Wszystko wszędzie dokoła jest dwoistością — kłamstwem, kłamstwem, kłamstwem! Nawet między mną i tobą, nawet w kościele naszej miłości ta fala mętów!

JULJUSZ. O!... nie bluźnij.

LOLA. Tak! Bo ja ci kłamię mówiąc, że oddam serce niepodzielnie. W tem rozpołowionem sercu wzrasta jakiś bóg, czy demon — nie wiem — ktoś wielki, ktoś silniejszy odemnie. On mnie kusi. Czasem naigrawa się z mej słabości, czasem szydzi ze starych prawd świata, a wciąż naszeptuje: brodzisz w fałszu, a tam — kędyś — jest prawda!

Ja skłamię, gdy przed ołtarzem wierność przysięgać ci będę — bo nie wiem, czy mi ów demon dla niego wierniejszą być nie każe.

...Ty marzysz może, że skoro wprowadzisz mnie pod stary nieskazitelny dach twój rodzinny, to stanę się ciszą, błogosławieństwem, osłodą twoją w pracy — dla gniazda. W ciebie zapatrzoną, tobą tylko żyjącą zamkniesz mnie jak w muszli... Ty marzysz, że na powitanie nasze stare lipy twego dworu zaszemrzą nam baśń szczęścia; od pól pszenicznych, od łąk koszonych przypłyną melodje błogosławieństw, a z chałup wioski powita nas korne wiernych głów schylenie — i raj stanie otworem, i będziem szczęśliwi.

Lecz ja myślę inaczej. Myślę, że do mąk swoich wszystkich dodam tę jeszcze, największą, iż ciebie raju pozbawię.

I wciąż lękać się będę, że zjawi się anioł groźny i jaką ognistą błyskawicą miecza ukaże nam nie raj, lecz — ziemię!

A nie wiem nawet, czy wówczas u progu Edenu serce mi skamienieje z bólu, czy jak ptak puszczony na wolność strzepnę skrzydłami i w przestrzenie ulecę...

Gdyśmy dziećmi słabemi byli, uczono nas łzami litości płakać, i bóstw wielkich szukać i serca podnosić, — jak drogoskazy, stawiano przed nami prawdy wielkie; lecz skoro sił dorośniem i wzrok ku nim podniesiem, i ramiona do czynu natężym, to nagle — wara od czynu! Dziecięce marzenia dzieciątkom zostawcie, wy, młodzi, drogi macie inne. Bóstwa waszego dzieciństwa daleko za wami, w krainie baśni tęczowych zostały. Przed wami stoją teraz potęgi inne: niewzruszone, uznane: majestat tradycji, porządek społeczny, świętość Edenów. Oczy przymknijcie, głowę potulnie schylcie i płyńcie z prądem, z prądem...

...Co najwyżej pozwolą nam czasem przy jakiej księżycowej baladzie rozpłakać się tkliwie. — Lecz po dniu marzyć? Ustrzeżcie nas bogi! Stary Don Kiszot śpi dawno w mogile i łez dla marzeń szkoda... Tak, dla marzeń. Marzeniem i mrzonkami zwą, i śmiesznością piętnują każdy żywszy ruch serca, każdy krok od wiary do czynu. Gdziekolwiek zechcesz pomknąć, zawsze znajdzie się jakieś stare bóstwo domowe, jakieś echo z zamierzchłej przeszłości, co położy ci rękę na ramieniu i zawoła: nie pójdziesz!

Cicho! Nie przecz! wiem, co mi powiesz. Ale się mylisz. Pogodzić tych dwóch odłamów nie można. Pójść za jednym — to sprzeniewierzyć się drugiemu — a tak, czy owak, w sercu śmierć zamkniesz. Bo i przeszłość, jak, polip wrasta w serce człowieka; to ta koszula Dejaniry, którą ze krwią zdejmujesz.

Światła dzieciństwa, wiara młodości i siły młodości niech usną. My płyńmy z prądem, z prądem...

Lecz czasem — jakby jakieś skrzydła unoszą do góry; chce się ulecieć po przez te prądy, po nad te skały, ku mlecznym drogom, na szlaki inne...

(Zamyśla się i po chwili:) I wtedy jest mi bez granic smutno, bo myślę że... daruj miły — że raj chyba nie dla mnie, że zamiast różami, ja... mogę cierniem cię uwieńczyć...

*W. Dalecka.*

BJÖRNSTJERNE-BJÖRNSON.

# STRASZNE WSPOMNIENIE
## Z LAT DZIECIĘCYCH.

(Dokończenie).

Była zima, gdy go mieli ścinać. — Uwiadomiono go o tem krótko przed egzekucją; wszywscy domownicy mieli pełne ręce pracy; ojciec miał przemówić do niego na miejscu stracenia, proboszcz zaś, jako opiekun jego duszy i sumienia, i woźny powiatowy, mieli przybyć do nas dzień poprzednio.

Per, dozorcy, przyjaciel jego, nauczyciel Jakobsen, wszyscy mieli spać razem w szkole; jemu i Jakobsenowi mieliśmy posłać jedzenie.

Przypominam sobie dokładnie, jak pewnego dnia przyjechali z Moldy łodziami proboszcz, woźny powiatowy i zasądzony na śmierć. Ale mnie posadzili w szkole i przez cały dzień nie mogłem się ruszyć od książki.

Zakaz ten robił całą sprawę więcej tajemniczą. Ściemniało bardzo wcześnie, morze odbijało ciemnym kolorytem od białawego wybrzeża, chmury piętrzyły się; obawialiśmy się burzy. W tem wybuchł kominem na probóstwie ogień, większa część żołnierzy rzuciła się w tamtą stronę, aby biedz z pomocą; wielką sikawke wytoczono ze spichrza; była niezwykle ciężką i wiele nawet miano kłopotu z ustawieniem jej, wreszcie ojciec mój utorował sobie drogę wśród tłumu, podbiegł do miejsca pożaru i [illegible]zykował ją. — Jeszcze do dzisiejszego dnia wspominają o tem w całej parafji, tak samo jak i o tem, że woźny powiatowy, mały, zręczny cygan, wziął w każdą rękę kadź od prania i wszedł na drabinę tak wysoko, że dostał się na sam szczyt dachu. — Ciemny fiord, niespokojne prz[illegible]anie

się chmur, płomienie i wrzawa, wszystko to było groźną i złą wróżbą... a po zatem wielka ogólna cisza, ach i owe szepty w pokojach i na podwórzu, gdzie kilka osób spacerowało, patrząc na spokojne światło w szkole.

Tam siedział nauczyciel Jakobsen z swym przyjacielem; wracający z tamtej strony opowiadali, że śpiewają i modlą się wspólnie. Rodzina Pera przybyła pod wieczór łodzią, poszli do niego na górę i pożegnali się; skazaniec podobno był pełen nadziei, że na drugi dzień stanie przed obliczem Boga, upominał podobno wszystkich i prosił usilnie wszystkich, ażeby pozdrowili od niego matkę i do końca życia obchodzili się z nią dobrze. — Niektórzy opowiadali nawet, że i ona przybyła łodzią, ale nie chciała wejść do syna. Nie było to prawdą; tak samo jak było kłamstwem opowiadanie, że kilku członków rodziny asystowało przy egzekucji. Obudziłem się rano niezmiernie przygnębiony i z wielkim strachem. Powietrze zmieniło się i było pogodne; ale mimo tego było jakoś duszno; nikt nie odzywał się głośno, a wszyscy mówili, o ile mogli, jak najmniej.

Miałem także asystować i przyglądać się ścięciu, i dlatego spieszyłem się, aby odszukać mego nauczyciela; ponieważ miałem rozkaz, żeby być pod jego opieką. Obaj duchowni — proboszcz i ojciec mój — zjawili się w rewerendach, zeszliśmy do przystani i przepłynęliśmy łodziami jednę czwartą drogi.

Skazaniec i jego otoczenie pojechali naprzód i czekali na nas u przystani, ażeby ostatni kawałek drogi do miejsca stracenia iść piechotą. Ścięcie miało nastąpić na rozstajnej drodze, a w całej okolicy tylko jedna się znajdowała, i to w Eidsvaag, mniejwięcej o milę od miejsca mordu oddalonem. Woźny powiatowy rozpoczynał korowód, za nim postępowali żołnierze, dalej skazaniec, mający z jednej strony proboszcza, z drugiej mego ojca, następnie postępował Jakobsen i mój nauczyciel, a ja pomiędzy nimi, potem gromada rozmaitych ludzi, a kończyli cały szereg znów żołnierze. Szliśmy ostrożnie po ślizgiej drodze; kapłani rozmawiali bez przerwy z tym niezwykle bladym człowiekiem: oczy jego były zmęczone, a wyrażały wielką łagodność, mówił bardzo mało. Matka moja, która go otaczała pieczołowitością i okazywała wiele dobroci, a której on serdecznie za to dziękował, dała mu na drogę butelkę wina, aby się mógł pokrzepić; kiedy nauczyciel mój podał mu wino, po raz pierwszy spojrzał na księży; pragnął się od nich dowiedzieć, czy to nie jest grzechem. Ojciec mój przypomniał radę, jaką Piotr dał Tymoteuszowi — a on usłuchał i napił się sporo.

Wzdłuż drogi stali ludzie, którzy byli ciekawi oglądać go, a następnie złączyli się z całym pochodem; pomiędzy nimi byli także jego rówieśnicy, których ukłonami ze smutkiem żegnał; kilkakrotnie też uchylał czapki, tej samej płaskiej czapki, którą miał, kiedym go widział po raz pierwszy. Było widoczne, że przyjaciele jego mieli do niego pewne przywiązanie: widziałem też młode kobiety, które płakały i wcale nie kryły się ze swemi łzami. Szedł z rękoma na piersiach złożonemi, prawdopodobnie modlił się. Gdy przybyliśmy na miejsce, oziębiająco na nas oddziałał grzmiący kapitana głos: »baczność«! Wojsko ustawiono otwartym czworobokiem, który się zamknął, gdy woźny okręgowy, duchowni, skazany i kilka osób w środek jego weszło. Do tych ostatnich i ja należałem. Zebrał się tutaj wielki milczący tłum ludu, a ponad wszystkimi sterczał sołtys w trójkątnym kapeluszu, na koniu. Rozpoczęło się wszystko odczytaniem przez sołtysa wyroku i królewskiego rozkazu. Sołtys stał nad grobem, pokrytym gładkiemi deskami, na końcu tych desek ustawiono pień; po drugiej stronie grobu zbudowano małe wywyższenie, z którego miał przemawiać proboszcz. Per Hagbö klęczał na stopniu, głowę pochyloną ukrył w dłoniach, klęczał tuż przy nogach duszpasterza. Proboszcz był Duńczykiem, jednym z tych niewielu, którzy przy podziale udali się do Norwegji: mowy jego były na papierze znakomite, ale niełatwo zrozumiałe, mianowicie wtenczas, gdy go wzruszenie opanowało, a do tego nie wiele było potrzeba. Wtenczas to ostatnie słowa bardzo głośno wymawiał, potem jednakże tulił głowę między ramiona, potrząsał nią ciągle, mrużył oczy, a w przerwach bełkotał kilka niewyraźnych słów. Kołnierzyki wysokie, sięgające mu po za uszy, — nigdy nic podobnego nie widziałem — powiewały mu nad gładko wystrzeżoną głową, a ramiona jeszcze ponad owe kołnierzyki się wznosiły i poruszały nad głową: długie ćwiczenie sprawiło, iż umiał je wyżej podnosić, niż każdy inny śmiertelnik. Kto go nie znał — a znać go, znaczyło tyle, co kochać go! — nie mógł się wstrzymać od śmiechu. Mowy jego nie słyszano i nie rozumiano, lecz była krótką, musiał ją przerwać ze wzruszenia. Tylko jedno pojęli wszyscy, że przywiązał się do bladego młodzieńca, którego przygotował na śmierć, a życzył, aby wszyscy tak radośnie i spokojnie opuszczali świat ten, jak on dzisiaj. Gdy zszedł z wywyższenia, uściskali się na pożegnanie. Per podał następnie ojcu memu rękę i kilku innym, potem stanął obok przyjaciela swego Jakobsena; zrozumiał on, co to znaczy, wydobył chustkę i zawiązał oczy Pera, mówiąc do niego cicho, otrzymując ciche od niego odpowiedzi. Ktoś się zbliżył, aby Perowi związać ręce na plecach, lecz on prosił, aby tego nie czyniono; życzeniu jego stało się zadość. Jakobsen wziął go za rękę i wyprowadził naprzód. Tam, gdzie Per miał uklęknąć, przystanął Jakobsen, a Per powoli zgiął kolana. Jakobsen trzymał go jeszcze za rękę i pochylił się nad nim, aż głowa jego spoczęła na pieńku; potem cofnął się i złożył ręce do modlitwy. Widziałem to, spostrzegłem też, jak do

Pera przystąpił wysoki mężczyzna i obnażał muszkuły jego karku, a inny wydobył z chusty nadzwyczaj ostry topór. Wtenczas się odwróciłem. Usłyszałem straszliwie brzmiące słowa: »prezentuj broń« — posłyszałem, jak ktoś mówił »Ojcze nasz« — może sam Per — potem uderzenie, jakby kto ciął w głowę kapusty. W tej chwili podniosłem oczy; spostrzegłem, jak jedna z nóg drgała; o kilka stóp od ciała leżała głowa, a usta jej kurczowo się poruszały. Pomocnik kata przyskoczył, schwycił za rogi chustki i rzucił głowę do ciała; deski były położone na trumnie, zdjęto je prędko, ciało też zaraz w niej spoczęło, potem spuszczono trumnę do grobu. Teraz wszedł ojciec mój na wywyższenie; rozumieli go wszyscy, a potężny jego głos rozbrzmiewał tak daleko, że dziś sobie jeszcze opowiadają o tem w parafji. Gromową wymową przestrzegał on młodzież przed nałogami, którym się oddawano w tej okolicy: przed pijaństwem, pieniactwem, wszetecznictwem i innemi namiętnościami; kazanie musiało się słuchaczom bardzo spodobać, gdyż na drodze do domu skradziono mu je z kieszeni rewerendy.

Na mnie samym egzekucja takie wywarła wrażenie, iż zdawało mi się, że niezadługo i mnie ta kara spotka; później mówiłem z wielu innymi, którzy mieli zupełnie to samo uczucie. Ojciec mój i proboszcz jedli obiad u kapitana razem z innymi urzędnikami, lecz przyszli prosto z obiadu do domu.

Proszę jednak wystawić sobie przerażenie moje, gdy siedząc w kącie — nikt na mnie nie zważał — usłyszałem, jak proboszcz mym rodzicom opowiadał, że Per zeznał w więzieniu przy najświętszym Sakramencie, iż nie on zawlókł dziewczynę do stromej skały i nie on ją zrzucił, jeżeli zaś proboszcz żąda, może mu wymienić sprawcę. Proboszcz jednakże odrzekł mu, że tylko z nim ma do czynienia! Później słyszałem, jak w parafji wszędzie mówiono, że matka nawówiła Pera, aby zgładził dziewczynę z tego świata, jeżeli nie zechce podać kogo innego za ojca dziecka nieprawego. Mówiono też, że Per ranił ją siekierą i starał się ją zrzucić, lecz zaniechał zamiaru i uciekł; poczem się zbliżyła matka i dokonała czynu. Za matkę więc poniósł śmierć, to było to, do czego go siostra zniewoliła; to też było tajemnicą, która go wiązała tak ściśle z Jakobsenem, i to było przyczyną, iż proboszcz tak się do niego przywiązał, — tak ja to sobie później kombinowałem.

Opiszę też tych, którzy w dniu owym przy wyroku zastępowali króla i sprawiedliwość, — nie opiszę ich z nazwiska, lecz z charakteru. Kapitan był mężczyzną pełnym życia i siły, brał udział w naszych ostatnich dwóch wojnach, lecz był tak obojętnym na wszystko, co miało styczność z moralnością, iż oskarżano go ostatecznie o zbrodnię tak oburzającą, iż nie chcę jej tutaj wcale wymienić; nie ukarano go wprawdzie, lecz nikt o jego winie nie wątpił. Sołtys dostał się na dziesięć lat do domu karnego za oszustwo w urzędzie, człowiek ten już wtenczas nie był bez winy, gdy z innymi jadł obiad; mój ojciec o tem wiedział. Woźny okręgowy drapnął za morze, a gdy przejrzano jego rachunki i papiery, pokazało się, że pół parafji straciło z jego winy pieniądze; na nikogo w całej okolicy, po śmierci, tak nie wymyślano, jak na niego.

Minęło już przeszło pięćdziesiąt lat od tego czasu; od owej chwili w Norwegji zmieniło się wiele.

(Tłumacz. »Przeglądu poznańskiego«).

# Postęp społeczny Anglji.

II.

(Ciąg dalszy).

W najtrudniejszych chwilach pierwszej doby naród angielski, jakeśmy widzieli, zdobył się wszakże na energiczną obronę zagrożonej swej przyszłości. Śledząc dalej rozwój społeczny Anglji, widzimy wciąż energję narodu i rozum polityczny wszystkich klas jego, jako czynniki trwałego i pokojowego postępu naprzód. Wytrwała obrona praw swoich i interesów, zdolność wyszukiwania dróg, najłatwiej prowadzących do celu; nieopieranie się zmianom koniecznym, lecz umiejętne przystosowywanie się do nowych warunków życia — oto charakterystyczne cechy dziejów nowoczesnej Anglji, cechy, zapewniające przewagę jej nad innemi krajami Europy zachodniej.

Okres ruchu czartystowskiego, o którym wzmiankowaliśmy w artykule poprzednim, jest dobą ogromnego znaczenia dla Anglji współczesnej, w tym bowiem czasie właśnie ukazały się zjawiska, których dalszy rozwój doprowadził Anglję do jej stanu dzisiejszego. Powszechne niezadowolenie, grożące katastrofą, zwróciło uwagę ludzi myślących na ogół stosunków społecznych i wywołało pierwsze objawy tak zwanej dziś w Anglji »skruchy społecznej«. Śród warstw, górujących nad ogółem majątkiem, stanowiskiem społecznem lub wykształceniem, zaczęli się zjawiać ludzie przekonani, że przywileje, z których korzystają, wkładają na nich obowiązki względem społeczeństwa, zwłaszcza zaś względem warstw upośledzonych...

Pomiędzy liberalnem mieszczaństwem, pomiędzy postępowymi przedsiębiorcami w tymże czasie znalazły gorące poparcie dwie agitacje: o cła zbożowe i o skrócenie dnia roboczego dla

kobiet i wyrostków do 10 godzin. Oprócz pojęcia słuszności proponowanych reform i użyteczności ich dla interesów przedsiębiorców, ważną rolę odegrywała tu chęć odwrócenia ruchu robotniczego z jego drogi ówczesnej. Zwłaszcza popularną była w tych kołach agitacja o cła zbożowe. Zniesienie ich było zniesieniem wielkiej niesprawiedliwości społecznej, było korzystnem zwłaszcza dla klas przemysłowych wogóle. Robotnicy jednak nie okazali się zbyt pochopni do popierania tej agitacji. Przekonanie, że na reformie skorzystają przedewszystkiem przedsiębiorcy i rozgoryczenie, jakie wówczas panowało, były tego przyczyną, natomiast bardziej pociągająca dla robotników była praca 10-godzinna. Udział w agitacji postępowych przedsiębiorców (jak np. J. Fieldena, Bothertona, Hindleya) miał ogromne znaczenie. W argumentach na korzyść reformy, nie opierali się oni na uczucia humanitarne lub religijne, ale wykazywali korzyści, jakie wynikną dla robotników i dla samego przemysłu. Dowodziło to, że wówczas już fabrykanci zaczynali z powodzeniem wchodzić na nową drogę: ochrony swoich interesów osobistych za pomocą umiejętnego przystosowania się do nowych wymagań, nie zaś bezużytecznej walki z niemi. Udział w agitacji fabrykantów był też jednym z pierwszych objawów wspólnego działania politycznego dwóch warstw społecznych. Ta wspólność była zapowiedzią niejako dzisiejszego łączenia się przedsiębiorców i robotników w jednem stronnictwie liberalnem. Obiedwie agitacje zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem w latach 1844—1850.

Wśród robotników w tymże czasie równolegle z rewolucyjnym ruchem czartystowskim rozwijały się dążenia do poprawy swego losu na innych drogach. Spostrzegamy tu ogromną rozmaitość form. Najskromniejsze cele stawiały stowarzyszenia pomocy wzajemnej (t. zw. *Friendly societies*), jednoczące w sobie zadania kas przezorności, kas emerytalnych, towarzystw ubezpieczeń na życie i t. p. Nie należy wszakże lekceważyć i tego objawu życia klas pracujących. Już samo ich wielkie rozpowszechnienie*) wskazuje, że mamy tu do czynienia ze zjawiskiem poważnem, pamiętać zaś należy, że oprócz wpływu bezpośredniego na dobrobyt oddzielnych rodzin, niemałym być musiał wpływ pośredni na rozwój moralny i umysłowy mas zainteresowanych. Dalej już sięgały związki zawodowe *(trade-unions)*, mające na celu obronę interesów robotniczych w sprawach takich, jak wysokość płacy, długość dnia, warunki pracy i terminatorstwa. Najdonioślejszemi w założeniu były natomiast stowarzyszenia współdzielcze (kooperacyjne), które marzyły o przebudowaniu całego ustroju społecznego na drodze dobrowolnego stowarzyszenia się w związki spożywcze i wytwórcze.

(C. d. n.). *J. KN.*

*) Obecnie liczą w całym kraju 32.000 grup związkowych tego rodzaju; liczba członków wynosi przeszło $4^1/_2$ milionów, do czego należałoby dodać około 13 miljon. osób, zainteresowanych pośrednio (żony i dzieci). Wydatki roczne równają się sumie 2,000.000 f. st.

# Nieboszczka Barbara,

przez

**Karolinę Świetlę.**

(Ciąg dalszy.)

Izdało się płaczącej na łożu boleści Baśce, że wszystkie słowiki, które się gotowały na cześć wiosny niebawem hymny zanucić w górach, rozśpiewały się naraz w jej piersi i że wszystkie fijołki, których woń miała wkrótce zielone napełnić gaje, rozkwitły już teraz w jej sercu... Tak gorąco, jak ją Maciek, nie kochał żaden chłopiec swojej dziewczyny, tak zgodnie, jak ona z nim, żadne nie żyło małżeństwo, choćby się w pogoni za niem świat obiegło cały.

I pochyliła Baśka kornie czoło i wyznała przed sobą samą, że dość długo żyła na tym świecie w weselu, dostatku, szczęściu, że więc sprawiedliwą jest całkiem rzeczą, aby los jej stał się teraz udziałem innej jakiej osoby...

— Daremniebym oglądała się za żoną dla niego, nie zgodziłby się na żadną za nic w świecie. Muszę znaleźć inny środek, aby to szło jakoś i wówczas, gdy mnie już nie będzie — mówiła ocierając oczy. — Gdyby to można tak urządzić, aby go przynajmniej nie było tutaj, gdy mnie z chałupy wynosić będą. Obróciłabym się zaiste, wskutek jego zachowania się w trumnie, nim zdążonoby mię pogrześć. Widzi ponoś nieboszczyk i słyszy wszystko, co dokoła niego się dzieje, dopóki ksiądz nie poświęci grobu. A cobym też ja, Boże wielki, słyszała tu i widziała! Nie będzie mię chciał wydać śmierci i Boga jeszcze gotów tym swoim uporem obrazić.

Nad tem więc łamała już sobie tylko głowę od tej chwili Baśka, coby takiego zrobić, aby Maciek pozwolił jej odejść z tego świata, nie czyniąc zbyt wielkiej wrzawy i aby za nią tak bardzo nie tęsknił.

— Gdybym tylko mogła dociągnąć do borówek, tobym się tak wymknęła, że aniby spo-

strzegł — modliła się w duchu. A modliła się tak gorąco, z takiem natężeniem wszystkich władz, że chociaż ręka jej była już jedną raną, a z ciała tylko skóra i kości zostały, przeżyła jednak wiosnę i lato. Znajomi, którzy ją odwiedzali, żegnali się z nią nazawsze bo odchodząc wiedzieli, że już jej nie ujrzą. Jeden tylko Maciek, który przywykł widzieć ją wciąż leżącą, niczego zgoła się nie domyślał, a jeżeli kiedy i przyszła mu jaka smutna myśl do głowy, Baśka potrafiła zaraz odegnać ją wesołym jakim żartem. Wszak umiała brać wszystko z dobrej strony i zdolność tę zachowała do ostatniej chwili.

W wigilję wniebowzięcia Matki boskiej Maciek wykończył właśnie popołudniu obstalowaną przez księdza proboszcza klatkę dla rzadkiego jakiegoś ptaka i uradowany swoją robotą kręcił się dokoła niej, gdy nagle przyszło mu na myśl znowu pytanie, czy też potrafi zrobić kiedy wspaniałą klatkę nietylko na ptaki, lecz i na wiatr.

Ale teraz Baśka już go nie upewniała, że skoro ludziom się udało ująć w sidła piorun, to i on niechybnie na swój wynalazek wpadnie. Zaniepokojony milczeniem, Maciek zbliżył się do jej łóżka.

— Co to znaczy, Baśko miła, że tak mało teraz mówisz? — pytał, gładząc ją po obwiązanej ręce i smutnie w smutne patrząc oczy.

Po raz pierwszy zauważył tego dnia, jak bladą i znużoną ma twarz ta biedaczka, której tchu już brakło, po raz pierwszy zbudziło się w nim przeczucie tego, co wkrótce miało go spotkać.

— Wszak od dłuższego już czasu tak jest ze mną — pocieszała go Baśka, siląc się na dawny swój, jasny i uprzejmy uśmiech — ale wkrótce będzie mi lepiej. A zdaje mi się, że ozdrowiałabym odrazu, gdybym tylko mogła borówek skosztować.

— Tego dobrego możesz mieć, ile ci się podoba: w lesie ziemia tak wygląda, jak gdyby ktoś czerwoną rozesłał chustkę. Widziałem to dzisiaj rano, gdym nacinał pręciki do klatki.

— Borówki, co rosną w naszych lasach, nie orzeźwiłyby mię, ani pokrzepiły, W takim tylko razie przyniosłyby mi te jagody ulgę, gdyby były aż z Bezdieza, bo tam najświętsza Panna skrapia je umyślnie dla chorych każdego ranka świeżą rosą.

— Więc można tam zaraz jutro kogoś posłać.

— Myślałam już o tem. Poproszę komornicy, aby dzieciom pozwoliła pójść.

— Ale gdzieżby dzieci potrafiły zrobić co porządnie! oburzył się Maciek. — Nazbierałyby zielonych i niedojrzałych jagód wraz z czerwonemi i dojrzałemi. Toby ci dopiero smakowało! A kto wie nawet, czy te zbytniki dotarłyby aż do Bezdieza. Włóczyłyby się, gdzieby się im podobało, a potem miałyby odwagę twierdzić, że tam były. Dzieci dobreby tylko były do przyniesienia zebranego plonu, ale towarzyszyć im musi ktoś rozumny, godny zaufania. Albo wiesz co? Sam pójdę z niemi, bo nikt lepiej odemnie nie potrafi im rozkazywać, ani ich musztrować.

Dopięła nakoniec Baśka, czego chciała: gdy on puści się na trzydniową wycieczkę, ona będzie mogła odejść do — wieczności. Oko chorej mierzyło już spokojnie jej głębie, chociaż usta nie przestawały się uśmiechać. Wszak dość długo żyła na tym świecie w dostatkach, radości i szczęściu przy boku człowieka, co ją kochał więcej, niż którykolwiek mąż swoją żonę.

— O tyś najlepszy ze wszystkich ludzi na świecie! — mówiła do niego szeptem. — Od czasu, jak cię znam, nie słyszałam z ust twoich złego słowa, nie podniosłeś nigdy na mnie ręki, nie obraziłeś szorstkiem zachowaniem się. Niech cię Bóg za to stokrotnie błogosławi!

Maciek słuchał, uśmiechając się z zadowoleniem i pobrzękując groszakami w kieszeni.

— Tak miłego, jak twoje, usposobienia nie ma też żadna inna kobieta: potrafisz we wszystkiem dobrą znaleść stronę, umiesz z góry wywróżyć każdemu, co go szczęśliwego spotka. Bylebyś tylko nie była tak mizerna, blada, i nie miała tak sinych i drżących policzków. D. n.)

# Przegląd pism.

## *Kwartalnik historyczny.* Rok 1895. Zeszyt IV.

Drobnym artykulikom, prawie że notatkom i sprawozdaniom poświęcony ostatni tegoroczny zeszyt »Kwartalnika« zawiera: Prochaski: Spór o mitrę i pastorał w Rydze (1395 1397) i T. Papéego: zatarg podatkowy Kazimierza Jagielończyka z m. Krakowem 1487 r. W Miscelaneach zaznaczyć należy krótkie, ale dosadne uwagi krytyczne J. Moszyńskiego z powodu osławionej »Rzeczy« Koźmiana, wykazujące raz jeszcze, a co godna uwagi — w specyalnie historycznem piśmie — jak historyk roku 63-go, gdy mu tego potrzeba, mija się z prawdą »czy to przez dowolne przemienianie następstwa faktów, czy też przez rozmyślne zatajenie ich, czy wreszcie przez cytaty źródłowe, które okazują się dowolnemi«, słowem »wprowadza do historji zamęt i fałsz«.

## PRO MEMORIA.

19. grudnia. 1796. Kościuszko w towarzystwie Niemcewicza opuścił Petersburg, udając się do Ameryki.

19. grudnia 1863. Zygmunt Chmieliński, jeden z najdzielniejszych wodzów powstańczych człowiek niezwykłej energji ducha, rozstrzelany został w Radomiu.

20. grudnia. 1835. Zmarł we Francji, w Auxerze, Maurycy Mochnacki, spiskowiec, żołnierz 1831, r., publicysta historyk.

23. grudnia 1864. Wydano w Berlinie wyroki, skazujące Polaków, którzy brali udział w powstaniu polskiem.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.